EDUKACJA

Do wychowania potrzeba wioski

Ważniejsza od edukacji dzieci w kooperatywie jest **więź, która tworzy się między rodzicami.** Nie oddajemy malucha do placówki, która zastępuje mu rodzinę, tylko poszerzamy ją sobie o innych



Anna Wittenberg

Niektórzy rodzice do dziś mają gęsią skórkę na myśl o odpytywaniu przy tablicy i nie chcą fundować tego doświadczenia swoim dzieciom. Dla innych rubikonem była zapowiedź, że do szkół trafią sześciolatki, albo likwidacja gimnazjów. Są też tacy, którym wiarę w wydolność sterowanej przez państwo edukacji ostatecznie podkopały zdalne lekcje. Coraz więcej rodziców szuka dla dzieci drogi poza szkołą. Jedni uciekają do prywatnej edukacji, dla innych to tylko stara forma w nowym opakowaniu. Szukają więc nowych sposobów, by skutecznie wpoić młodzieży wiedzę i zadbać o ich rozwój. Przy okazji sami odkrywają nieznane rodzicielskie ścieżki.

Wirus jest niegroźny za opłatą

Choć minister zdrowia zapewnia, że w tym roku twardego lockdownu z masowym zamykaniem szkół nie będzie, rodzice niespecjalnie w to wierzą. Jak wynika z sondażu przeprowadzonego przez DGP, zamknięcie placówek to jeden z naszych największych lęków – w przypadku zwiększonej liczby zakażeń koronawirusem spodziewa się go 43 proc. respondentów. W grupie wiekowej 30–39 lat zdalnego nauczania obawia się co drugi pytany.

Trudno się temu dziwić – w ubiegłym roku pierwsze zamknięcia zaczęły się właśnie w październiku. I choć miały być czasowe, dzieci wróciły do ławek dopiero na chwilę przed wakacjami. – W kwietniu syn miał już dość zdalnej nauki. Był wtedy w IV klasie podstawówki, miał 10 lat. Postanowiłam zachęcić rodziców z klasy, żeby coś razem zrobić. Proponowałam, żebyśmy zaczęli się spotykać prywatnie w małych grupach, by zapewnić dzieciakom jakikolwiek kontakt ze sobą i motywację do nauki. Ale okazało się, że jestem sama, nikt nie podjął tematu. Wszyscy mówili: „Poczekajmy jeszcze dwa tygodnie, bo przecież zaraz otwierają" – mówi Monika Karczmarska, trenerka personalna, przedsiębiorczyni i mgr filologii polskiej. Dotychczas nie miała wiele wspólnego z organizowaniem nauki najmłodszym.

– Ale jak to mówią: rodzice najwięcej są w stanie zrobić dla własnych dzieci. Więc wzięłam sprawy w swoje ręce.

Karczmarska porozumiała się z koleżanką Olgą Sobocińską, która jako mistrzyni fryzjerstwa, nauczyciel zawodu i magister zarządzania jakością też nigdy nie prowadziła szkoły. Miała za to dzieci w IV i VII klasie i te same problemy – dodatkowo pochłaniające z rodzinnego budżetu 1,8 tys. zł miesięcznie. Tyle wynosiło bowiem czesne w prywatnej placówce, która także prowadziła naukę zdalnie. – Przepisałyśmy dzieci do edukacji domowej, ale że żadna z nas nie widzi się w roli nauczycielki własnych dzieci, zaczęłyśmy na szybko tworzyć grupę do wspólnej nauki. Rozsyłałyśmy wici po znajomych, a równocześnie szukałyśmy nauczycieli, którzy chcieliby z nami pracować – wspomina Olga Sobocińska. Projekt nazwały „Sposób na szkołę". Założyły stronę na Facebooku, wynajęły pomieszczenie od jednej z gdyńskich fundacji i rok szkolny kończyły już jako organizatorki kształcenia 12 dzieciaków z klas IV i VII. – Kiedy zaczęłyśmy relacjonować na Facebooku to, co robimy, zaczęłyśmy dostawać mnóstwo pytań z całej Polski, ludzi przybywało z dnia na dzień. Teraz mamy już prawie całą podstawówkę, z wyjątkiem IV i VI klasy – mówi Monika Karczmarska.

Zainteresowanie innymi opcjami edukacyjnymi nie powinno dziwić. Jak pokazały badania polsko-ukraińskiego zespołu pod kierunkiem dr. hab. Piotra Długosza z Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, uczniowie bardzo źle znieśli zdalne nauczanie – 20 proc. ankietowanych przez badaczy dzieci wykazywało objawy depresji. Lekarstwo, czyli powrót do regularnej nauki, może jednak okazać się dla nich jeszcze gorsze: 40 proc. boi się wymagań, jakie nauczyciele będą stawiać, żeby wyrównać poziom. Co piąty lęka się powrotu do rytmu wczesnego wstawania i dojazdów.

W ciągu roku projekt „Sposób na szkołę" rozrósł się do fundacji z własnym lokalem, który przez wakacje panie same przygotowywały („Proszę napisać, że z pomocą mężów, żeby się nie obrazili"). – Z tym – swoją drogą – wiąże się kolejna patologia polskiego systemu szkolnictwa. My nie zarabiamy na prowadzeniu tego projektu, rodzice składają się po 850 zł na pensje nauczycieli, lokal i koszty księgowe. Żeby nie pompować darowizny, na początku chciałyśmy podnająć pomieszczenia w jakiejś szkole, która – przypominam – była i tak zamknięta, więc sale stały puste. I co się okazało? Że proponowano nam tylko komercyjny wynajem po godzinie 16. W normalnych godzinach pracy placówek koronawirus był groźny i dzieci nie mogły tam przebywać. Ale już po południu, za 40 zł za godzinę, przestawał – ironizuje Olga Sobocińska.

Choć do szkół już można wrócić, założycielki „Sposobu na szkołę" nie zamierzają cofać się z obranej ścieżki. – Nasze dzieci na początku były sceptyczne, ale teraz nie wyobrażają sobie być znów w systemie. Zresztą my patrzymy na to, co nie działało w samym sposobie nauczania i staramy się to zrobić inaczej – mówią założycielki fundacji.

Czym ich projekt różni się od szkoły prywatnej? – Oj, szkoła prywatna to nadal szkoła systemowa. Może ma ładniejsze firanki, fajniejsze wycieczki, nauczycieli, którym bardziej się chce, ale wciąż są tam sprawdziany, oceny. My nie chcemy trzymać dzieci w pruskim systemie, gdzie wszyscy pracują na akord. Nauczyciele mają pełną wolność, jak najszybciej i jak najprzyjaźniej robią podstawę programową, a potem wykorzystują czas na rozwijanie najbardziej pasjonujących tematów – opowiada Monika Karczmarska. Dodaje, że wszystkie dzieci korzystające z zajęć są formalnie w edukacji domowej – zapisują się do szkoły, której dostają świadectwo, ale nie muszą chodzić na lekcje. Co jakiś czas tylko zaliczają ustaloną z nauczycielami partię materiału, np. w formie rocznego egzaminu. Dzięki temu nie mają nad sobą urzędników, kontroli, zobowiązań wobec systemu. Mają za to czas na zajęcia z gier strategicznych, warsztaty logicznego myślenia, kółko szydełkowania, geografię czy biologię w terenie. – Ale też bez przesady. Dzieci nie można przeładować pracą – zaznacza.

Przykład „Sposobu na szkołę" okazał się inspiracją dla wielu rodziców. Do tego stopnia, że zamiast odpowiadać na pojedyncze pytania jego założycielki, zdecydowały się wydać dwa e-booki z poradnikami dla rodziców, którzy chcieliby pójść podobną drogą. Pierwsi naśladowcy już są – w Sopocie, na Śląsku, w Słupsku, w Wielkopolsce czy Małopolsce.

Z własnego portfela

Szkolne kooperatywy powstawały także przed pandemią. Dla Justyny Boreckiej, z zawodu seksuolożki, porozumienie z innymi rodzicami było kontynuacją przedszkolnej przygody córki. – Razem z rodzicami dwójki innych dzieci wychodziliśmy z Zielonego Przedszkola, które działa przy Folwarku Bródno w Warszawie. Ono postawiło poprzeczkę bardzo wysoko, nie znaleźliśmy żadnej placówki, która spełniałaby rozbudzone tam marzenia o dobrej szkole. Postanowiliśmy więc założyć własną kooperatywę, która byłaby zakotwiczona przy tej placówce – wspomina. Rodzice dokooptowali jeszcze kilkoro dzieci, przepisali pociechy na edukację domową, zrekrutowali nauczycielkę i od września wystartowali z projektem „Ponad Horyzont". Kooperatywa działała na zasadach porozumienia bez przemocy, na zajęciach kluczowa była indywidualizacja podejścia do dziecka i ruch na świeżym powietrzu. W programie, poza realizacją podstawy, znalazły się m.in. jazda konna czy angielski jako drugi język. Energii wystarczyło na dwa lata. – Dla naszej nauczycielki to było zbyt duże obciążenie. Nie było tygodnia, w którym nie byłoby potrzebne nasze dodatkowe zaangażowanie. Rozstaliśmy się z nią po pierwszych tygodniach nauczania online, w drugim semestrze – tłumaczy Justyna Borecka.

Pomimo rezygnacji nauczycielki, zamknięcia szkół,

nauczania online rodzicom udało się opanować sytuację i doprowadzić dzieci do egzaminów. Przed kolejnym rokiem umówili się jednak, że nauczycielki muszą być dwie, a całość będą wspierały na stałe trzy mamy. – Ponieważ mieliśmy ósemkę dzieci, a więc niewielką grupę, musieliśmy dosypać do projektu więcej pieniędzy. Dla części rodziców to już mogło być zbyt dużo, więc wspólnie z koleżanką dokładałyśmy je z własnych portfeli. Jednocześnie daliśmy sobie rok na decyzję co dalej – wspomina inicjatorka kooperatywy.

Szybko pojawiły się kolejne problemy. Z zespołu odpadła jedna z dwóch nauczycielek, która równolegle studiowała i nie udało jej się dopasować planu zajęć. Sama działalność w kooperatywie natomiast bardzo obciąża koordynatorki. – Dla nas były to cotygodniowe spotkania z zespołem, dodatkowe superwizje i kolejne – z rodzicami. A przy tym prowadziłyśmy zajęcia i wspierałyśmy nauczycielki w szkole. Był to więc wielki wydatek energetyczny. Żeby projekt spiął się finansowo, musielibyśmy włożyć w niego jeszcze więcej pracy, rozszerzyć działalność, zrekrutować nowe dzieci i wynająć większy budynek. Nowe wyzwania przewyższały nasze możliwości na tym etapie, a okoliczności, w których się znaleźliśmy, nie sprzyjały. Dla mnie od samego początku ważne było, żeby zapewnić córce przestrzeń do harmonijnego rozwoju zarówno pod względem emocjonalnym, jak i poznawczym oraz społecznym. Z biegiem czasu dostrzegłam, że przy tak małej grupie dzieciom brakuje różnorodności. A także sam system nie zapewniał jej wyzwań intelektualnych takich, jakich na tym etapie potrzebowała – wspomina. Członkowie kooperatywy podjęli decyzję, że kończą więc współpracę w takiej formie.



fot. A-Digit/Getty Images

Dzieci z kooperatywy trafiły do różnych placówek, głównie małych szkół prywatnych. Jedno zostało w edukacji domowej. – To nie znaczy, że dwa lata starań poszły na marne i że żałuję – zastrzega moja rozmówczyni. – Po pierwsze dzięki kooperatywie stworzyliśmy wspaniałą grupę. To byli rodzice, którzy wiedzieli, w co wchodzą, byli gotowi dać dzieciom wiele z siebie: jedna mama robiła zajęcia z zumby, inna ze stolarki, ja z edukacji seksualnej. Nadal wspólnie wyjeżdżamy, a nasze dzieci kolegują się ze sobą – zapewnia. Przyznaje też, że dla jej własnego dziecka dwa lata poza systemem edukacji były cennym doświadczeniem. – Myślę, że na początku nie byłaby gotowa, by pójść do większej szkoły, teraz za to wspaniale się odnalazła. Widziałam, że córka już nasyciła się w kooperatywie i że czas dla niej na nowe wyzwania – mówi.

Jak przyznaje założycielka projektu „Ponad Horyzont", dziś jednym z głównych zadań edukacji jest przygotowanie dzieci do nieustannych zmian. – Nie wiem, czy za jakiś czas znów nie wrócimy do alternatywnej edukacji. Teraz o tym nie myślę, ale nauczyłam się obserwować swoje dziecko i odpowiadać na jego potrzeby. Czuję też, że rolą rodzica jest towarzyszyć mu w różnych sytuacjach, a nie wiecznie przed nimi chronić – dodaje.

Połączyć atomy

Gdyby określić sposób, w jaki działa kooperatywa współtworzona przez Przemka Różańskiego, „zmiana" dobrze oddawałaby jej ducha. Zrzeszeni w niej rodzice nie stworzyli żadnej instytucji czy fundacji ani nie zatrudniają nauczyciela. Nie ma także formalnej struktury. – Zaczęło się od dwóch rodzin, w tej chwili nie wiem, ile nas jest. Może pięć, może sześć. Nieustannie ktoś wchodzi i wychodzi, jak na Brodnicę, czyli 20-tysięczne miasto, jestem pod wrażeniem – ocenia. Czym zajmuje się Brodnicka Kooperatywa Rodzin? – Umówiliśmy się, że piątek jest dniem kooperatywy. Spotykamy się wtedy i mamy dużo czasu, żeby po prostu być ze sobą. Staramy się też planować razem wyjazdy czy wakacje tak, by nasze dzieci tworzyły wspólną bandę – wyjaśnia Przemek Różański. Jak dodaje, tworząc kooperatywę, brodniczanie próbowali zatrudniać nauczycieli i ustalać sztywny harmonogram. Żaden z tych pomysłów jednak nie wypalił. – Nauczyciele albo rezygnowali, albo zaczynali przyprowadzać do nas własne dzieci, stając się częścią kooperatywy. Teraz postawiliśmy na to, że rodzice odpowiadają za część edukacyjną, czyli realizację podstawy programowej, a w czasie naszych spotkań skupiamy się na relacjach i swobodnej zabawie. W pierwszym okresie edukacyjnym chodzi o to, by nauczyć zaciekawiania się światem. Jeśli nie będziemy tego przerywać, to w pewnym momencie dzieci zaczynają interesować się wiedzą. To moment, że będą mogły zdobywać ją same czy nawet iść do zwykłych szkół, bo ich motywacja będzie wewnętrzna – dodaje.

Dla Przemka Różańskiego dużo ważniejsza od edukacji dzieci w kooperatywie jest więź, która tworzy się między rodzicami. – Dzisiaj żyjemy w zatomizowanych społecznościach, więc rodzice zostają z wychowaniem dzieci samotni. Tymczasem do wychowania potrzebna jest cała wioska – na tym założeniu opiera się kooperatywa. Nie oddajemy malucha do placówki, która zastępuje mu rodzinę, tylko poszerzamy ją sobie o innych – wyjaśnia. Jednocześnie zaznacza, że sam nie jest antysystemowy. Jego syn chodzi do przedszkola, ale na zasadach, które są dobre dla całej rodziny – idzie na kilka godzin, bez przymusu i porannej gonitwy, byle tylko zdążyć na śniadanie.

Jak dodaje, kooperatywa, w której działa, opiera się na związkach sąsiedzkich, a nie konkretnej koncepcji wychowawczej czy jakiejś ideologii. – Gdybym miał opowiedzieć o poglądach współpracujących z nami rodziców, znalazłbym i lewaków, i konfederatów. To dla mnie zaskakujące doświadczenie, bo wcześniej sam tworzyłem swoiste monokultury: ekowioski, szkoły demokratyczne. Prędzej czy później zawsze jednak kończyło się tak samo: sporem w rodzaju, czy coś jest prawdziwym weganizmem, czy nie. Teraz widzę, że naprawdę sprawdza się właśnie podejście do miejsca rodziny w życiu.

Przemek Różański z zawodu jest pedagogiem i psychoterapeutą gestalt. Pracuje m.in. jako superwizor wolnych szkół, a także specjalista w poradni psychologiczno-pedagogicznej. Z systemem edukacji styka się więc na co dzień. – Nie wierzę ani w państwo, ani w jego opiekę. Nie potrzebuję też z nim walczyć ani przywoływać do porządku, by skuteczniej wykonywało swoje zadania. Mogę za to dbać o swoich i wspierać tych, którzy zdecydują się robić to samo. Tworzyć „zwarte grupy przyjaźni i działania" i sieć powiązań między nimi. Licząc, że z wolna ta nowa tkanka społeczna będzie się rozrastać i wzmacniać, zmieniając nasz krajobraz – mówi Różański.

O tym, by kooperatywy zastąpiły systemową edukację, raczej nie ma mowy. Na razie rodzin, które formalnie realizują edukację domową, jest w Polsce ok. 20 tys. Ale z każdym kolejnym edukacyjnym kryzysem powoli ich przybywa. ©℗

KONGRES 590

Twoje zdrowie w Twoich rękach

Małe zmiany, które każdy z nas może wprowadzić do codziennej rutyny, takie jak regularne spacery, wysypianie się czy zdrowsza dieta, są receptą na długie życie w dobrym zdrowiu. Niestety zbyt wiele osób zaniedbuje profilaktykę, bo wciąż wolą się leczyć niż zapobiegać – podkreślali uczestnicy panelu „Mam wpływ na swoje życie i zdrowie" podczas Kongresu 590.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE KONGRES 590

Moderator: Adam Giza, dziennikarz, **Aleksandra Agatowska,** prezes zarządu PZU Życie, **Adam Niedzielski,** minister zdrowia, **dr n. med. Tomasz Maciejewski,** dyrektor naczelny Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie, **Joanna Bensz,** prezes zarządu Longevity Center

Otwierając panel, **Aleksandra Agatowska,** prezes PZU Życie, zaznaczyła, że przyszłość każdego z nas zaczyna się już dziś. I każdy ma na nią wpływ. – Jeśli już teraz zadbamy o siebie i naszych bliskich, a pracodawcy zatroszczą się o swoich pracowników, to za kilka lat poziom zdrowia i życia w całym społeczeństwie się poprawi. Wpłynie to również pozytywnie na naszą gospodarkę i będzie istotnym odciążeniem dla publicznego sektora ochrony zdrowia. Dlatego musimy wykreować nowe postawy społeczne w zakresie świadomego dbania o zdrowie – powiedziała Aleksandra Agatowska.

Prezes PZU Życie zaprezentowała kompendium wiedzy „Masz wpływ na swoje życie", które swoim patronatem objęło Ministerstwo Zdrowia. To przewodnik, który nie tylko pokazuje, jak Polacy podchodzą do kwestii swojego zdrowia, ale przede wszystkim jest źródłem wiedzy i porad ekspertów jak zacząć dbać o siebie. – Mam nadzieję, że nasze kompendium wiedzy będzie inspiracją dla wielu osób i przyczyni się do budowania nowej postawy społecznej, jaką jest codzienna troska o zdrowie swoje i swoich bliskich – podkreśliła Aleksandra Agatowska. Zaznaczyła jednocześnie, że w tym zakresie jest jeszcze sporo do zrobienia, ponieważ zbyt wielu Polaków za późno decyduje się podjąć działania profilaktyczne. Jak wynika z kompendium wiedzy PZU Życie, aż co piąty Polak nie robi badań profilaktycznych. Co czwarty uprawia sport dłużej niż dwie godziny w tygodniu, a tylko połowa z nas przestrzega prawidłowej diety. Z tą diagnozą zgodził się minister zdrowia. **Adam Niedzielski** zwrócił uwagę, że w Polsce jest ponad 20 programów profilaktyki zdrowotnej, ale zainteresowanie nimi jest znacznie mniejsze niż w innych krajach w Europie. Co jest przyczyną? – Wynika to w dużej mierze stąd, że dbanie o zdrowie utożsamia się w Polsce z medycyną naprawczą, czyli z konkretnymi badaniami, pójściem do lekarza, szpitala. A nie tym, co w dużej mierze decyduje o naszym zdrowiu – ocenił minister Adam Niedzielski. Potrzebna jest refleksja i dokonanie wyboru – czy zdecydujemy się na pewien wysiłek, np. uprawiania aktywności fizycznej, czy za kilkanaście lat pójdziemy po leki. I w takiej sytuacji najczęściej nadal wybieramy tabletkę, a nie zmianę stylu życia i nawyków.

– W tej sytuacji to medycyna naprawcza płaci za nasze grzechy zaniedbania – ocenił **Tomasz Maciejewski,** dr n. med. i dyrektor naczelny Instytutu Matki i Dziecka w Warszawie. – Źle się odżywiając, powielając zły styl życia, generujemy koszty leczenia chorób np. sercowo-naczyniowych czy nowotworowych. Jeśli zadbamy o siebie od najmłodszych lat, będziemy zdrowsi i żyli dłużej, nie generując kosztów społecznych, czyli kosztów opieki medycznej – dodał ekspert. Dr Maciejewski zwrócił też uwagę na rolę kobiet w walce o zdrowe życie rodziny. To właśnie kobiety tworzą wzory prozdrowotnych zachowań. Jeśli mama uprawia sport, to dziecko częściej ją naśladuje, rzadziej maluch idzie w ślady ojca, który trenuje. Dlatego kobiety mogą być katalizatorem dużych zmian.

O tym, czy długowieczność oznacza życie w zdrowiu, mówiła **Joanna Bensz,** prezes zarządu Longevity Center, która prowadzi badania nad długością i jakością naszego życia. – Jedno drugiego nie wyklucza. Możemy skupić się na długim życiu w dobrym zdrowiu, ale zatroszczmy się o to wcześniej. Nie czekajmy do 60., bo wtedy mamy dużo mniejszy wpływ na efekt. Warto wdrożyć odpowiednie zmiany jak najwcześniej, 30-latkowie czy 40-latkowie mają bardzo wiele możliwości i czasu, by skutecznie wpłynąć na swoje długie życie w dobrym zdrowiu – wyjaśniła Joanna Bensz. Uczestnicy panelu zwrócili uwagę także na to, jak pandemia zmieniła podejście do zdrowia. Minister **Adam Niedzielski** przyznał, że pandemia przyniosła dużą liczbę zgonów, zwłaszcza tych nadwyżkowych, niewynikających bezpośrednio z COVID-19. Podkreślił, że przyczyny tego stanu leżą w naszej świadomości zdrowotnej. – Nie traktujemy poważnie zabezpieczeń antyepidemicznych, nie diagnozujemy się, nie badamy się, nie wykrywamy w porę symptomów choroby. Często pierwszy test na COVID-19 ma miejsce w karetce, która zabiera pacjenta prosto pod respirator – mówił minister. Podkreślił, że zwiększenie świadomości to element walki z pandemią, zwłaszcza w kontekście ograniczonego dostępu do lekarzy.

Aleksandra Agatowska zaznaczyła, że pandemia przyczyniła się także do zmiany współpracy na linii ubezpieczyciel-klient biznesowy. – Już wiemy, że nasza współpraca z pracodawcami, klientami korporacyjnymi, po pandemii będzie wyglądała inaczej. Pracodawcy pytają nas o to, jak zarządzać stresem czy rozwojem osobistym pracownika. Dziś powinniśmy oferować już nie tylko ubezpieczenia, ale kompletne rozwiązania w dziedzinie HR, obejmujące wiedzę i edukację oraz idące w ślad za nimi produkty wspierające prozdrowotne nawyki i działania pracowników. Biorąc pod uwagę potencjał, skalę działania i relacje z milionami klientów, jakie ma PZU, nasz wpływ na ukształtowanie pozytywnego trendu może być naprawdę istotny – wskazywała prezes PZU Życie. ANO

KONGRES 590

PARTNER RELACJI